Marsz równości

Wstęp

Dominika Ferens

W tej części *InterAliów* publikujemy trzy teksty związane z ważnym dla polskich odmieńców wydarzeniem, jakim był poznański Marsz Równości (19.11.2005). Pierwszy z tych tekstów to relacja Błażeja Warkockiego, jednego z uczestników, pisana tuż po wyjściu z komisariatu, dokąd trafił razem z ponad sześćdziesięcioma uczestnikami marszu.[1] Tekst drugi to analiza medialnych przekazów na temat Marszu autorstwa jednej z organizatorek, Izabeli Kowalczyk. Na końcu zamieszczamy notkę prasową z *Gazety Wyborczej* dotyczącą orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego, według którego Marsz był zgodny z prawem, a ograniczanie prawa do manifestacji nielegalne.[2] W miarę rozwoju wydarzeń w tej rubryce będziemy publikować kolejne relacje i analizy.

W kraju, w którym jak grzyby po deszczu rosną osiedlowe płoty i stale wydaje się przybywać "obcych", "Żydów", "odmieńców" i innych niepożądanych elementów, tym bardziej trzeba doceniać osoby, które sporym wysiłkiem wyobraźni przeskakują płoty, żeby budować koalicje. Wychodzenie naprzeciw innemu, kwestionowanie podstaw wykluczenia innego, domaganie się równych praw do przestrzeni publicznej dla siebie i innych, nie jest zjawiskiem nowym w Polsce, ale w ostatnich miesiącach nabrało ono nowego znaczenia w obliczu zawłaszczania przestrzeni publicznej przez narodowo-katolicko-homofobiczną większość. Od kilku lat niektóre feministki, lesbijki i geje w Polsce uważają, że do pewnego stopnia jest im po drodze i dlatego maszerują razem w różnego rodzaju manifach, paradach i marszach. Czasem dołączają do nich zatroskani politycy, przedstawiciele świata kultury i sztuki czy przypadkowi przechodnie. Jednak dla mnie to właśnie Poznański Marsz Równości z 19 listopada 2005 utożsamia wzór polityki koalicyjnej, którą szczególnie ceni Douglas Crimp, jeden ze współtwórców amerykańskiego ruchu *queer* .

Choć koalicjanci tej pokojowej demonstracji na co dzień utożsamiają się z bardzo różnymi środowiskami (m.in. organizacjami feministycznymi i LGBT, ruchem niepełnosprawnych, partią Zielonych, ruchem alterglobalistów, czy Teatrem Dnia ósmego), wychodząc na rojącą się od policjantów i pseudokibiców ulicę Półwiejską w Poznaniu mieli oni świadomość, że jeżeli dostaną po głowie pałką lub kamieniem to jako "pedały". Tego dnia wzięli na siebie ryzyko bycia "pedałami", bo uznali, że tam, gdzie większość odgradza się płotem czy policyjnym

kordonem od jednej grupy odmieńców wkrótce może zabraknąć miejsca dla innych.

Różnie przebiegają w Polsce linie wykluczenia - najczęściej według podziałów klasowych, jak w Bielsku-Białej, gdzie mieszkańcom skromnej kamienicy w centrum "przeszkadzają ubodzy, którzy przychodzą po jedzenie do sąsiadującego z nimi Banku Chleba. Za własne pieniądze chcą postawić płot, żeby odgrodzić się od banku."[3] W tym samym, wielkanocnym numerze *Gazety Wyborczej* (15.04.2006) można przeczytać artykuł o krakowskiej wojnie futbolowej między kibicami Wisły i Cracovii.[4] Tu granica między "swoimi" i "obcymi" przebiega zupełnie arbitralnie: kibice tych klubów nie różnią się od siebie ani wiekiem, ani płcią, ani statusem społecznym, ani nawet miejscem zamieszkania: "W innych miastach drużynom kibicują całe dzielnice, a tylko w Krakowie wszystko się miesza - jedna ulica za Wisłą, druga za Cracovią. Niby cały Kazimierz kibicuje Cracovii, ale na placu Bohaterów Getta mieszkają wiślacy. Ci chłopcy widują się codziennie, jeżdżą tymi samymi tramwajami, wysiadają na tych samych przystankach". Jednak "każdego dnia kilkanaście osób pada ofiarą wojny". Jak trafnie tłumaczy źródło konfliktu jeden z kibiców Wisły: "Nie mamy przecież najmniejszych powodów, by lubić Cracovię. Inaczej wiślacy nie byliby wiślakami". Dlaczego tak ważna jest dziś dla kibiców z Nowej Huty i Kazimierza taka właśnie przynależność grupowa być może domyślają się socjologowie, ale sami kibice dobrze wiedzą, że tylko przez wykluczenie "obcych" grupa jest w stanie zdefiniować własną tożsamość.

Chyba, że sama jest zdefiniowana z zewnątrz, jak uczestnicy Marszu Równości. W artykule, który tu drukujemy Izabela Kowalczyk zwraca uwagę na to, że ile by razy organizatorki Marszu nie przypominały urzędnikom państwowym i dziennikarzom, że reprezentują wiele wykluczonych mniejszości, Marsz odczytywany był jako "parada gejów". I to jako parada gejów został napiętnowany przez duchownych, a następnie zakazany przez władze miasta. Jako parada gejów przedstawiany był w niektórych mediach nastawionych na poszukiwanie sensacji.

Również jako parada gejów Marsz został zignorowany przez poznańskich konsumentów uważających się za normalną większość. Jeżeli się jednak zastanowić, zachowanie tych Poznaniaków zdecydowanie odbiega od normalności: "Kiedy uczestnicy nielegalnego, poznańskiego Marszu Równości, zamknięci w szczelnym kordonie policji, krzyczeli "TAK dla równości! TAK dla demokracji! STOP homofobii!" na przeciw wmieszanych w tłum bojówkarzy i kibiców, wznoszących słynne już hasła "Pedały do gazu!", "Zrobimy z wami co Hitler z Żydami" (â Ś) emocje na ulicy rosły, sytuacja zmierzała powoli do

zdławienia "nielegalnego zbiegowiska" siłą, tymczasem my obserwowałyśmy przez wielką szybę centrum handlowego, jak konsumenci i konsumentki (oddzieleni od tego wszystkiego paroma metrami chodnika i szklaną taflą) przymierzają buty, kupują jedzenie, liczą pieniądze w portfelach, całkowicie niewzruszeni tym, co rozgrywa się na zewnątrz"[5]. Ta surrealistyczna scenka pokazuje jak przypadkowa zbiorowość odgrodzona od ulicy sklepową szybą spontanicznie zbudowała sobie grupową tożsamość i wypracowała wspólny wzór zachowania normalnych konsumentów polegający na braku zainteresowania ekscytującym, bądź co bądź, spektaklem za szybą. Tymczasem stłoczonych między dwoma kordonami policji demonstrantów jednoczyła zarówno fizyczna bliskość machającego transparentami, zmarzniętego tłumu jak i odrębność od ludzi w rozświetlonym sklepie za szybą.

Nieprędko doprowadzimy do korzystnych dla odmieńców zmian kulturowych i ustrojowych, jeżeli nie przebijemy się przez szklaną witrynę do "normalnych konsumentów" i nie zmienimy ich wyobrażeń o tym, kto należy do ich wspólnoty i jakie łączą ich więzi z ludźmi spoza najbliższej rodziny, dzielnicy czy z bohaterami ulubionego serialu. Na pewno nie przebije się garstka najbardziej nawet zdeterminowanych lesbijek i gejów. Historia ruchu *queer* sugeruje, że nie ma lepszego sposobu na zwiększenie siły przebicia niż mozolne budowanie sojuszów z innymi nienormatywnymi grupami.

Nurt *queer,* który jest mi najbliższy, powstał z potrzeby budowania koalicji w poszatkowanym, opartym na polityce tożsamościowej, amerykańskim środowisku LGBT końca lat 1980. Koalicja taka stała się konieczna w obliczu szerzącej się epidemii AIDS. Wcześniej, jak zwraca uwagę Douglas Crimp, członkom organizacji gejowskich i lesbijskich wydawało się, że ich ruchy wyrosły wokół odmieńczych tożsamości gejów i lesbijek. Tymczasem organizacje te budowały swoją tożsamość również w oparciu o identyfikację z innymi ruchami politycznymi - ruchem praw obywatelskich, czarnym nacjonalizmem i feminizmem - a te z kolei wzorowały się na ruchach wyzwoleńczych Trzeciego Świata. Niestety skupiając się na walce o własne prawa, działacze wczesnego ruchu gejowsko-lesbijskiego odcięli się od grup, z których doświadczeń korzystali. Jak konstatuje Crimp, "nasza niezdolność do budowania sojuszów z ruchami, z którymi identyfikowaliśmy się budując naszą własną tożsamość, jak również nasza nieumiejętność dostrzegania różnic wynikających z rasy i płci w naszych własnych szeregach, doprowadziły do tego, że ruchy gejowskie i lesbijskie przesunęły się bądź to w kierunku esencjalistycznego separatyzmu, bądź w kierunku liberalnej polityki praw człowieka"

Dominika Ferens